

Zdeněk Jirotka

Saturnin

Przekład Leszek Engelking



Zdeněk Jirotka

Saturnin

Przetłumaczono z czeskiego oryginału *Saturnin*
z roku 2014, wydanie 24,
Šulc-Švarc i Karolinum
Przekład Leszek Engelking

Wydawnictwo Afera
Wrocław
www.wydawnictwoafera.pl

Uniwersytet Karola
Wydawnictwo Karolinum
Praga
www.karolinum.cz

Text © Zdeněk Jirotka – heirs, 2018
Translation and Epilogue © Leszek Engelking, 2018
Cover Illustration © Adolf Born, 2018
All rights reserved

ISBN 978-83-65707-22-2 (Afera)
ISBN 978-80-246-4193-5 (Karolinum)
ISBN 978-80-246-4207-9 (epub)
ISBN 978-80-246-4205-5 (pdf)
ISBN 978-80-246-4206-2 (mobi)



Wydawnictwo Afera 2018
www.wydawnictwoafera.pl



Charles University
Karolinum Press 2018
www.karolinum.cz
ebooks@karolinum.cz

I

Teoria doktora Vlacha

Zatrudniam służącego

Incydent ze złodziejem

*Doktor Vlach wypowiada się o zdrowiu psychicznym
i Pitagorasie*

Wprawdzie nie lubię wszystkich tych porównań i przypowieści, którymi doktor Vlach przeplata swoje pełne temperamentu wypowiedzi, ale muszę przyznać, że jego pouczająca historyjka o kawiarni, człowieku i misie z pączkami nie jest pozbawiona sensu. W każdym razie, odwołując się do niej, można w przybliżeniu uzmysłwić sobie i innym, jaką osobą jest Saturnin.

Rzecz w tym, że doktor Vlach dzieli ludzi według tego, jak się zachowują w na wpół pustej kawiarni, kiedy mają przed sobą misę pełną pączków. Proszę sobie wyobrazić luksusowy lokal w niedzielę przed południem. Na dworze jest piękna pogoda, więc gości siedzi w kawiarni niewiele. Zjedłście już państwo obfite śniadanie, przeczytali wszystkie gazety i teraz, wygodnie rozparci w swoim boksie, przyglądacie się misie z pączkami. Nuda pomału wpełza we wszystkie kąty kawiarni.

W tym momencie powinno się okazać, do której grupy, zgodnie z teorią doktora Vlacha, dana osoba należy. Jeśli mamy do czynienia z człowiekiem pozbawionym fantazji, upodobania do dynamiki i bez poczucia humoru, będzie się on tępo i bezmyślnie gapić na pączki, może nawet aż do południa, potem zaś wstanie i pójdzie na obiad.

Żywię uprawnione podejrzenie, że do owej grupy zalicza doktor Vlach także mnie. Myślę, że nie ma racji. O humorze ani tej całej dynamice nie będziemy tu dyskutować, ale odmawiać mi fantazji, wiedząc, że udało mi

się poprawnie wypełnić formularze oświadczenia podatkowego... doprawdy zadziwiające! O to jednak mniejsza. Nawet gdybym należał do osób tego typu, byłoby mi to milsze, niż zaliczać się do grupy drugiej. Jej przedstawiciele, spoglądając na pączki, mają podobno igrać z pytaniem, co by się stało, gdyby ktoś ni z tego, ni z owego, bez ostrzeżenia, zaczął innych gości kawiarni bombardować tymi ciastkami.

Nie pojmuję, jak dorosły, rozsądny człowiek może pomyśleć o czymś takim. Jednocześnie wszakże w pełni zgadzam się z sądem, że doktor Vlach, co sam zresztą przyznaje, należy do tej właśnie grupy. Z jakichś niezrozumiałych powodów jest z tego faktu dumny. Uważa ów rodzaj ludzi za duchowo dojrzałszy. Ja natomiast nie potrafię objąć umysłem, co z duchową dojrzałością ma wspólnego wizja pączków rozmaślających się na głowach spokojnych klientów kawiarni. Doprawdy, nie jestem w stanie tego zrozumieć. Ale dobrze, nie będziemy się o to spierać. Mam bowiem ustalony pogląd na debaty z doktorem Vlachem. Zawsze kiedy wchodziłem z nim w dyskusję, w jej trakcie nabierałem wrażenia, że przypominam człowieka, który z głupoty wybił dziurę w zaporze na rzece.

Gdyby los nie postawił na mojej drodze Saturnina, nie uwierzyłbym, że występuje jeszcze trzeci rodzaj ludzi: ludzkie białe kruki. Mam na myśli osoby, które wizja świszczących w powietrzu pączków pociąga tak bardzo, że podnoszą się z miejsca i ją urzeczywistniają.

Do takich jednostek doktor Vlach odnosi się z bezgraniczną estymą. Twierdzi, że podobny czyn wymaga nie tylko dobrze wykształconego poczucia humoru, lecz także odwagi, temperamentu i nie wiem czego tam jeszcze. Moim zdaniem wymaga on też bardzo dużej dozy szaleństwa i każde rozumne stworzenie musi się zdumieć, że takie osoby można spotkać poza zakładami stworzonymi przez

ludzką społeczność specjalnie dla nich. Niestety, sądzone mi było przekonać się na własnej skórze, że tacy ludzie naprawdę istnieją i że jak dotąd nikt w żaden sposób nie ograniczył ich wolności osobistej. Saturnin rzeczywiście jest bowiem właśnie kimś takim.

Kiedy spoglądam dziś za siebie na krótki okres swojej biografii, który przeżyłem całkiem niedawno, wielu rzeczom muszę się dziwić. Na przykład temu, jak dużo wydarzyło się w tym czasie. Moje życie było jak gdyby zagęszczone, wydarzenia następowały jedno po drugim, ledwie nadążałem z ich rejestrowaniem. Przypominałem człowieka, który schodząc z zaśnieżonego pagórka, natrafił na ukryty pod białym puchem gładki lód. Mam wrażenie, że w okresie, gdy sunąłem w dół jak po szkłe, nie zachowywałem się zbyt nobliwie. Myślę, że fakt ten da się usprawiedliwić, i wątpię, by ktokolwiek chciał mi to wyrzucać. Twierdzić, że wystarczyło wtedy w dowolnej chwili zejść z lodowej ścieżki na bok, mógłby jedynie człowiek, który nie ma pojęcia, co to znaczy rozpaczliwie walczyć o utrzymanie choćby jakiej takiej równowagi. Zresztą, szczerze mówiąc, nie mogę wcale tego uznać za bardzo nieprzyjemne, sądzę wręcz, że gra warta była świeczki. Dawno wprawdzie wyrośłem z chłopięcych marzeń o przygodach, lubię życie spokojne i zdecydowany jestem stąpać twardo po ziemi, ale uważam, że spadający nagle na głowę deszcz niezwykłych wydarzeń nikomu nie zaszkodzi. W deszczu nikt się jeszcze nie utopił, poza tym o nieprzyjemnych rzeczach człowiek szybko zapomina. Niespodziewany zjazd na złamanie karku w śnieżnej zawiei z perspektywy czasu wydaje się całkiem interesującą przygodą.

Ja, człowiek stosunkowo młody i nieżonaty, zatrudniłem służącego; zapewne nie było to rzeczą rozsądną. Taki pomysł wydaje się wręcz ekstrawagancki, rzekłbym:

literacki, powieściowy. Bez wątpienia nie znalazłoby się w Czechach wielu młodych mężczyzn mających swoich służących. Wspomnienie tak nierozważnego czynu jest dla mnie, człowieka o charakterze łagodnym i konserwatywnym, dość zawstydzające.

Saturnin dał ogłoszenie do gazet, szukał posady służącego, warunki jego zatrudnienia były dla mnie możliwe do przyjęcia. Do tego miał znakomite rekomendacje. Jego wygląd i nienaganne maniery bardzo przypadły mi do gustu. Później się dowiedziałem, że odebrał systematyczne i bynajmniej nie powierzchowne wykształcenie. Jego imię, dość niezwykle, zdawało mi się z czymś mętnie kojarzyć, ale nie wiedziałem z czym, i dopiero niedawno odkryłem, w jakich powiązaniach uwięzło mi w pamięci. Dostał mi się do rąk numer gazety mniej więcej sprzed dwu lat, w której natrafiłem na artykuł o próbie kradzieży w willi profesora Ludy, i przypomniałem sobie, że wówczas rozmawiałem z kimś o tym zdarzeniu w kawiarni. Saturnin stał się bohaterem dnia, chociaż poważniejsi czytelnicy kręcili głową nad jego postępowaniem. Mam zresztą tutaj wycinek z gazety:

Frapujący incydent ze złodziejem. W niedzielę 6 sierpnia po północy do willi prof. Ludy, historyka i kolekcjonera, wkradł się włamywacz i próbował otworzyć kasę pancerną, w której prof. Luda trzyma cenne wyroby dawnej sztuki złotniczej. Zanim udało się złodziejowi dostać do sejf, przeszkodził mu jeden z pracowników zatrudnionych w domu profesora, p. Saturnin. Co wydarzyło się między tymi osobami, jest przedmiotem śledztwa. Kiedy policja, wezwana telefonicznie, dotarła na miejsce przestępstwa, znalazła złodzieja całkowicie nieprzytomnego, miał rozległą ranę szarpaną na głowie. Wypowiedź p. Saturnina była dość niezwykle. Twierdził on, że złodziej zranił się sam – średniowiecznym

cepem z kolekcji broni prof. Ludy. Pan Saturnin nadal uparcie trzyma się tego twierdzenia. Włamywacz odzyskał w szpitalu przytomność, ale utrzymuje, że zapomniał, jak się nazywa. Wstępne śledztwo zdaje się wskazywać na następujący przebieg wypadków: zaskoczony złodziej próbował przestraszyć p. Saturnina nabitym ostrą amunicją rewolwerem. Pan Saturnin wytrącił mu broń z ręki i wyrzucił przez okno do ogrodu, gdzie później ją znaleziono. Uczyniwszy to, zwrócił się do włamywacza z dłuższą przemową, w której tłumaczył przestępcy, że walka dwóch w różny sposób uzbrojonych mężczyzn nie jest fair. Zmusił go, żeby wziął ze ściany coś, co ten opisuje jako pręt z kulą i tańcuchem, sam wziął identyczny przedmiot. Po załatwieniu jakichś niejasnych formalności zaczęła się walka, w której złodziej odniósł ranę. Co ciekawe, włamywacz bynajmniej nie wyklucza, że zranił się w głowę sam. Mówi, że trudno było posługiwać się tym przyrządem i że kilka razy ledwo uchylił się przed rozwirowaną kulą swojej własnej broni. Poza tym podobno podczas całego starcia okropnie się bał, że rozbije żyrandol. Ogólnie cieszy się, że skończyło się, jak się skończyło. Gdy śledztwo dobiegnie kresu, nie omieszkamy przekazać czytelnikom naszej gazety szczegółowej informacji o jego rezultatach.

Mówiłem już, że z doktorem Vlachem nie da się dyskutować. Nie tylko spuści na rozmówcę lawinę grubiańskich słów, ale jeszcze zwykle wykona jakieś myślowe salto i wygłosi płomienną filipikę przeciw czemuś, o czym człowiek wcale nie zamierzał mówić. Ta okoliczność zapewne wpłynie negatywnie na spójność mojej opowieści, ale nic na to nie poradzę. Nieoczekiwany charakter wypowiedzi doktora Vlacha niekiedy będzie miał zapewne taki skutek, że rozdział, który zaczął się jako rozprawa o kryminalistyce, zakończy się wprawdzie też jako rozprawa o kryminalistyce, ale poza tym będzie się w nim stale

mówiło o łowieniu pstrągów. Doktor Vlach już taki jest, a pięćdziesięciolatka trudno zmienić.

Kiedy spytałem go, co zdrowy na umyśle człowiek ma sądzić o opisanym w tym wycinku wydarzeniu, odpowiedział, że trudno powiedzieć, bo dzisiaj nikt już nie jest zdrowy na umyśle. Oznajmił, że wprzęgliśmy wszyscy mózg w służbę naszych wąsko wyspecjalizowanych profesji i ze wszystkich sił staramy się, żeby nieprzydatne do tego części owego organu jak najszybciej obumarły. Kiedy tylko to się dokona, zauważą nas nasi zwierzchnicy i zaczniemy robić karierę.

- To niesamowite - stwierdził - do jakich prostych, wręcz trywialnie nieskomplikowanych rozważań niezdolne są już umysły większości ludzi.

Doktor Vlach rozprawiał jeszcze przez godzinę i kwadrans, a ja już dobrze nie pamiętam o czym. Na koniec bardzo przychylnie wypowiedział się o Pitagorasie. Nie wchodziłem z doktorem w polemikę, ale co się tyczy przekonania, jakoby nikt już dziś nie był zdrowy na umyśle, uważam, że powinien on mówić wyłącznie za siebie.

II

Stary spokojny dom

Z zasady nie używam przysłów

Ekscentryzm Saturnina

Mieszkamy na barce

Zgadzam się złapać Marka Aureliusza

Żaden mężczyzna nie zniesie, by wątpiono w jego odwagę

Chciałbym, żebyście państwo wyobrazili sobie, jak spokojny żywot wiodłem, zanim Saturnin został moim sługą. Zajmowałem nieduże mieszkanie w jednej z tych mieszczkańskich kamienic, których szczególny czar zawsze silnie na mnie oddziaływał. Byłem ze swojego lokum bardzo zadowolony. Atmosfera tych domów z fasadami pełnymi sztukaterii, wytartymi kamiennymi schodami, intymnym półmrokiem w korytarzach i wysokimi obitymi drzwiami jest mojej duszy znacznie bliższa niż zuniformizowany wygląd nowoczesnych budynków. Czuję, że przytulności mieszkania sprzyja miły i uspokajający półmrok.

Doktor Vlach twierdzi, że są to uczucia odziedziczone po naszych przodkach, którzy żyli w jaskiniach. W ogóle w tym czasie wypowiadał się o moim domu bardzo nieprzychylnie. Nie rozumiał, jak mogę tam mieszkać. Mówił, że za każdym razem, kiedy wchodzi do tego budynku, serce mu się ściska na myśl o ludzkich tragediach. Że wszyscy, którzy tam w ciągu lat mieszkali, swoje szczęście wzięli ze sobą, ale ból, troski i rozpacz, wszystko to zostawili. Twierdził, że każde miejsce w tym domu jest przesiąknięte łzami wylewanymi przez ludzi w straszne noce, po których nie wstawał już dzień. Krótko mówiąc, doktor Vlach utrzymywał, że musiały się tam dziać rzeczy okropne i to wszystko kładzie się na nim przygniatającym brzemieniem, ilekroć przekracza próg owego budynku.

O ile wiem, nic naprawdę strasznego się tam nie zdarzyło, raz tylko przewróciło się rusztowanie, ale bynajmniej nie na doktora Vlacha, tylko na podwórze. Nikomu się zresztą nic nie stało, nie ma więc żadnego powodu do smutku. Na co doktor Vlach powiedział, że lepiej czuć brzemień smutku niż ciężar przewróconego rusztowania. Zawsze w ten sposób wymiguje się od poważnej dyskusji.

Mieszkałem więc w małym cichym lokalu z wypłowiałymi tapetami na ścianach i obrazami w szerokich staroświeckich ramach. Zegar z kolumienkami i kurantami odmierzał godziny spokojnych wieczorów, które spędzałem w dużym uchatym fotelu.

Tak, siedzę czasem w domu, i to dość często, zwłaszcza jeśli jest brzydka pogoda. W ciemne noce jesienne, kiedy niebiosa leją na ziemię strumienie deszczu, zimny wiatr rwie liście z drzew, wicher wyje wokół wież starych zamków, a to wycie miesza się z krzykiem spłoszonych wron, kiedy samotni jeźdźcy cwałują po błotnistych drogach, dążąc do swoich wątpliwych celów, w takie właśnie noce długie godziny siedziałem przy piecu i czytałem Václava Beneša Třebízskiego. Potem kładłem się spać i we śnie słyszałem płacz ukochanej, trzask płonącego dachu i przysięgi pomsty, a rano zdumiewałem się, że praskimi ulicami jeżdżą tramwaje. Dziwiłem się też, że kawa, którą do śniadania przyniosła mi pani Suchanková, nie jest zatruta.

Owa pani Suchanková była starszą panią z czarnymi włosami rozdzielonymi przedziałkiem, która troszczyła się o mnie iście po macierzyńsku. Niczego mi nie brakowało, nie mogłem się na nic skarżyć – i chyba właśnie to mnie złościło. Mówi o tym pewne przysłowie, ale ja przysłów ani porzekadeł z zasady nie używam. Mam do nich nieprzezwyciężony wstręt. Zrozumiecie dlaczego, kiedy poznaacie ciotkę Kateřinę.

I oto pewnego dnia w tym spokojnym otoczeniu znalazł się Saturnin, który uważał, że jego obowiązkiem jest uczynić moje życie tak burzliwym, jak się tylko da. Sami się przekonacie, że mu się to świetnie udało.

Nie chciałbym być źle zrozumiany, nie twierdzę bynajmniej, że Saturnin nie był dobrym sługą. Miał wszystkie zalety, które ktoś taki powinien mieć. Przystojny blondyn, uczciwy, rzetelny i bardzo inteligentny. Zawsze miałem wrażenie, że mógłby być wcale nie służącym, tylko dyrektorem jakiegoś międzynarodowego koncernu. Ma się rozumieć, nie byłby wtedy w stanie zmieniać pracodawców równie łatwo, jak zmieniał ich, będąc służącym.

Kiedy zaprezentował mi swoje dokumenty, musiałem skonstatować, że brakuje świadectwa z ostatniego miejsca zatrudnienia. Dlaczego nie mógł go mieć, dowiedziałem się później. Porzucił swoją pracę po zupełnie absurdalnym wyskoku. Opanował go mianowicie jakiś rodzaj furii, w chwili kiedy uznał, że nie może dalej znosić postępowania swojej pracodawczyni. W szaleństwie, które – jak mam powody sądzić – udawał, uszkodził w niewybaczalny sposób meble w mieszkaniu chlebodawczyni, a ją samą, niebywale tym zdziwioną, wrzucił w parku zamkowym do fontanny. Dopiero potem się uspokoił. Nie wymienię nazwiska damy, o którą chodziło, aczkolwiek znam ją bardzo dobrze, ale chcę nadmienić, że moje doświadczenia w pewnej mierze tłumaczą, a może nawet usprawiedliwiają zachowanie Saturnina. Chodzi mi o to, że znam wiele osób, które również wrzuciłyby ją do tej fontanny. Nikt jednak nie zamknąłby tej sceny w taki sposób, jak zrobił to Saturnin. Kiedy rzeczona dama wynurzyła się z wody i wbiła w sprawcę zdziwione spojrzenie, Saturnin sztywno się uklonił i oznajmił, że podano do stołu. Po czym oddalił się, żeby spakować swoje rzeczy.

Dopiero znacznie później przyszło mi do głowy, że stwarzanie takich absurdalnych sytuacji jest jego namiętnością. Nie chcę przez to powiedzieć, że pozwoliłby sobie na coś podobnego w stosunku do mnie. Po pierwsze, moja cielesna budowa przekonuje go, że cała sprawa mogłaby nie zakończyć się w przewidywany przezeń sposób, po drugie, powstrzymuje go moja wrodzona godność. Mimo to, od momentu kiedy został moim służącym, nigdy nie wiedziałem, czy nie będę zaraz musiał starać się zapanaować nad sytuacją wręcz niebывалą, niesamowitą i z reguły bardzo nieprzyjemną.

Zaczął się od tego, że kiedy rozmawiał o mnie z panią Suchankową, obdarzał mnie najróżniejszymi tytułami, jak sir, jego miłość, sahib, jego błagorodije, zależnie od tego, co akurat czytał. Potem naznosił mi do mieszkania mnóstwo trofeów łowieckich, rogi bawołu, kły słonia, różne futra itp. Później się okazało, że pożyczał te rzeczy od rekwizytora naszego głównego teatru. Kiedy nie było mnie w domu, jak się zdaje, opowiadał moim przyjaciółom rozmaite zmyślane historyjki myśliwskie. Tylko tak mogę sobie wytłumaczyć fakt, że kilka znajomych dam zaskoczyło mnie w kawiarni prośbą o opowiadanie im, jak zabiłem rekina statywem aparatu fotograficznego. Naturalnie zaprzeczyłem, bym miał kiedykolwiek czegoś takiego dokonać, i od tego czasu cieszę się opinią nazbyt skromnego bohatera.

Na próżno zastanawiałem się, po co Saturnin to robi. Początkowo sądziłem, że powoduje nim chorobliwe pragnienie bycia sługą jakiegoś dżentelmena-awanturnika i że z braku lepszego kandydata otacza nimbem bohaterstwa mnie. Potem doszedłem do przekonania, że go to po prostu bawi.

W ogóle miał poczucie humoru trudne do przyjęcia. Pewnego razu opowiadał mi o dowcipach, które podobno

nazywa się kanadyjskimi. Jeśli dobrze go zrozumiałem, pointa owych żartów polega na tym, że pali się jakiś dom albo ktoś jest ciężko ranny. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się to szczególnie podobało.

Chyba mniej więcej po pół roku Saturnin zaczął dawać do zrozumienia, że mieszkanie, z którego do tego czasu byliśmy w pełni zadowoleni, jest za małe. Ogólnie rzecz biorąc, była to prawda. Przedtem całkowicie wystarczało, jeśli jednak ktoś z was widział bawole rogi... ale trzeba by długo opowiadać. Rzecz jasna, doktor Vlach popierał Saturnina. Mówił, że dawno już powinienem był się z tego domu wyprowadzić, wspominał coś o moim słabym zdrowiu i panującej w mieszkaniu wilgoci. Nie było w tym ani śliska prawdy. Dawniej w mieszkaniu jakoś wilgoć bynajmniej nie panowała, a co się tyczy mojego zdrowia, to doktor Vlach nic o nim nie wie. Ostatni raz badał mnie, kiedy chorowałem na odrę; miałem wtedy chyba dziesięć lat.

Skończyło się to wszystko tym, że Saturnin odnalazł mnie pewnego popołudnia w kręgu znajomych i dyskretnie oznajmił, że się przeprowadziliśmy. Dodał, że mieszkamy teraz na wodzie w pobliżu mostu łańcuchowego.

Zapewne byłby zadowolony, gdybym padł bez zmysłów. Ja jednak zachowałem całkowity spokój i wróciłem do gry w karty. Dopiero wieczorem, po wypiciu kilku kieliszków koniaku, poszedłem rzucić okiem na stare mieszkanie. Było oczywiście puste, a oczy pani Suchankovej błyszczały od łez. Sposób, w jaki rozmawiał ze mną właściciel domu, podpowiedział mi, że nie powinienem się nazbyt interesować szczegółami opróżnienia mieszkania. Potem poszedłem w stronę mostu łańcuchowego. Było to wprawdzie idiotyczne, ale gdzieś pójść musiałem. Saturnin stał na nabrzeżu, miał marynarską czapkę i zwracał się do mnie: kapitanie.